

## MIMICRI

Miałem sposobność kilkakrotnie wejrzeć w głąb duszy tego człowieka. I przekonałem się wówczas, jak silne i szczere są jego wierzenia, jak wysoko stawia wartości duchowe, ile jest w nim rzetelnego pragnienia i dążenia, by dźwignąć się na wyższy poziom. Kiedy go przy takich okazjach obserwowałem czy rozmawiałem z nim, uderzała mnie jego fizjonomia – wyraz jego oczu: ile w nich było skupienia, powagi, skoncentrowanego entuzjazmu... jak twarz szlachetniała!

Ale to były tylko chwile, rzadkie chwile. Okoliczności tak się składają, że często się z nim spotykam w codziennym życiu. I gdy go wtedy obserwuję, zdumiewa mnie kontrast między tym, co widzę teraz, na codzień, a tym, czego żywe wspomnienie tkwi mi w pamięci z tamtych chwil, z tamtych wspólnych naszych przeżyć.

Jakby to byli dwaj różni ludzie!

Gdy rozmowa schodzi na tematy duchowe, religijne, to on rozmyślnie stara się ją zepchnąć z tego toru, zręcznym chwytem dialektycznym, ironiczną uwagą załatwia się z najpoważniejszymi zagadnieniami, a kpiący wyraz jego oczu, ton, jaki wprowadza do rozmowy, mrozi obecnych i odbiera im ochotę do dyskusji na te tematy.

Kto by się zetknął z nim w tamtych, wyjątkowych chwilach, ten nie mógłby nawet dopuścić przypuszczenia, że on wtedy udaje. To jest wykluczone. A zatem to, co on na co dzień pokazuje ludziom jest maską. Szczelną maską, za którą ukrywa prawdziwe swoje przekonania i uczucia.

Szczególnie jaskrawo występuje ten kontrast u tego człowieka. Ale przechodząc myślą innych ludzi, z którymi się stykam, widzę, że to zjawisko jest częste, tylko występuje w różnych formach i z różnym natężeniem.

Z nielicznymi wyjątkami ukrywamy wzajemnie przed sobą to, co w nas jest najwartościowsze, najgodniejsze ujawnienia, a okazujemy to, tym obcujemy z sobą, co w nas jest przeciętne, banalne – samą powierzchnią duszy. Wskutek tego to obcowanie doszczętnie niemal jest wyzute z głębszej treści. Nic sobie w nim wzajemnie nie dajemy, gorzej nawet, wyjaławiamy się naszymi

rozmowami. Dlaczego tak się dzieje? Czemu rozmyślnie niejako spychamy współzycie nasze duchowe na tak niski poziom?

Treść najgłębszą mej duszy – stosunek mój do Boga, do prawd podstawowych, dążenie do uświęcenia... - uważam za rzecz tak bardzo osobistą, intymną, że uzewnętrznianie jej, pokazywanie ludziom, odczuwam jako niewłaściwość, wzdrygam się przed tym, jakby przed nieprzyzwoitością... przed publicznym obnażaniem się...

Moje najwewnętrzniejsze przekonania, wierzenia są mi bardzo drogie, nietykalne. Podświadomie lękam się przeto, abym ujawniając je nie naraził na brutalne, a choćby niedyskretne potraktowanie. Czyjś półuśmiech ironiczny, nawet milczenie znaczące, kiedy oczekuje się odpowiedzi – uraża dotkliwie. A przecież idąc między ludzi, ja nie orientuję się, jak oni odnoszą się do tych rzeczy: każdy kryje się z istotną treścią swej duszy.

Czyż nie muszę być zatem ostrożny?

~\*~

Ale działa tu jeszcze jedna przyczyna, może nawet silniej od poprzedniej.

Nie tylko w świecie roślinnym i zwierzęcym, ale i w ludzkim społeczeństwie działa prawo upodobniania się do otoczenia, do środowiska. A wśród ludzi – zarówno w zjawiskach zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Przystosowujemy się do siebie, upodobniamy się wzajemnie nie tylko ubraniem, urządzeniem naszych mieszkań, sposobem życia, wysławianiem, ruchami... ale i poglądami, uczuciami... z tego źródła wypływa moda, wszelkiego rodzaju mody. Wiadomo, jaka jest jej potęga.

W każdej dziedzinie współzycia wyrobił się pewien typ zachowania się, postępowania. Wyrabiał się stopniowo pod działaniem poglądów i zachowania warstw przodujących. Z czasem narzuca się ogółowi, nabiera cechy czegoś obowiązującego... Niweluje w koło, przeciwdziała wszelkim odchyleniom, każdemu zjawisku indywidualnemu, oryginalnemu. Wychowanie, „dobre wychowanie” – w każdej sferze społecznej inne, dla niej swoiste - polega właśnie na zaznajamianiu z tymi typami, naginaniu do nich jednostki, by ona wżyła się

w nie instynktem i bez żadnego wysiłku myśli i woli tak myślała, mówiła i czyniła, jak wszyscy. Kto się wyłamuje spod tego prawa i chce robić „po swojemu”, sam sadza siebie na cenzurowanym i naraża się na niebezpieczeństwo osądu, nieraz nielitościwego. Skala reakcji społecznej na oryginalności jest bardzo rozległa. Można podzielić los owego bociana, którego stado zadziobało przed odlotem dlatego, bo na niepokalanie białym upierzeniu miał dziwną, nigdy nie spotykaną plamę z kilku czarnym piórek. A można się tylko natknąć na leciutki półśmieszek... Ale i on często wystarczy, by sparaliżować śmiałka, który pozwala sobie na coś „czego się nie robi”..., „czego się nie mówi”.

W spadku po wieku „oświecenia”, a następnie pod wpływem liberalizmu i pozytywizmu wyrobił się w warstwach wyższych, wśród inteligencji, taki typ stosunku do spraw duchowych, religijnych: nie należy mówić o tych rzeczach, a jeśli okoliczności narzucają konieczność poruszenia tego przedmiotu, to trzeba to robić pół serio – takim tonem, by się mogło zdawać, że jest się „wyższym” ponad te rzeczy, że się je traktuje co najwyżej... pobłażliwie. Ale najlepiej – nie mówić. Kto się nie stosuje do tego dobrego obyczaju, będzie uznany za nudziarza, i ... wnet pustka koło niego powstanie.

To już stopniowo mija.

Coraz więcej ludzi świadomie dąży do zmiany tego obyczaju, do wytworzenia nowego typu.

Bo coraz więcej nas uświadamia sobie, jak zacieśniamy się, ubożymy nasze życie wewnętrzne, krępujemy jego rozrost, odcinając się w nim od innych, zamykając się każdy z samym sobą tylko, a przeciwnie – jak wzbogacimy jego treść gdy i na tym gruncie obcując z innymi, korzystać będziemy z przeżyć, doświadczeń, prób, zdobyczy ludzi tej samej wiary.

I coraz więcej nas zaczyna pojmować, że wyjście z siebie, przełamanie milczenia, nawiązanie z innymi obcowania religijnego – jest naszym obowiązkiem.

Obowiązkiem jawnego wyznawania swej wiary, krzewienia jej w swym otoczeniu, zaszczepienia jej w tych, którzy dopiero szukają jej, tęsknią za nią – umacniania jej w słabych, niezaradnych.

Obowiązkiem misjonarskim.